Malcolm Jameson

4½B, Eros

(4½B, Eros)

Planet Stories, Spring 1941
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

— **M**akee chop chop. Kwei! Kwei!

Dwóch wenusjańskich kulisów przykucnęło między drążkami i jednym szybkim ruchem uniosło krzesło lektyki na wysokość ramion. Potem ruszyli nieśpiesznym biegiem przez ulewny deszcz, pryskając na prawo i lewo błotem, kiedy ich silne żółte stopy zaczęły uderzać w pas rozmokłego piachu, uchodzący w Venusbergu za drogę. Kapitan Hank Karns, niezależny handlarz, rozsiadł się wygodnie w fotelu lektyki, przyglądając się leniwie swymi niebieskimi oczyma jak spośród strug deszczu wyłania się na chwilę jedna chata z trawy, a potem następna. Zajęciem statku Cappy'ego Wilkersona będzie czas martwić się później, kiedy dotrze do budynku administracji i dowie się więcej o stawianych mu zarzutach. Bez wątpienia była to po prostu kolejna próba wymuszenia, skutek działania jakiegoś pomniejszego urzędnika, próbującego wyrwać dla siebie nieco więcej, niż tylko zwyczajową łapówkę.

Kapitan Karns wylądował należącą do niego starą handlową łajbą, nie dalej niż godzinę temu i kiedy rejestrował przylot swojego *Swappera*, zauważył, że pod datą o trzy dni wcześniejszą znajdował się wpis: „*Wanderer*, kapitan Wilkerson, w drodze z Merkurego na Lunę.” Poniżej widniała sporządzona na czerwono notatka: „Zatrzymany z polecenia Inkasenta Portu; kapitan umieszczony pod strażą.”

Hank Karns z zamyśleniem pogładził się po swej siwej brodzie. Cappy Wilkerson był rozważnym i uczciwym człowiekiem, oraz jego wieloletnim przyjacielem; jakiego rodzaju dętymi zarzutami mogli go przygwoździć? To, że były one dęte, przyjmował z całą pewnością, ponieważ miejscowy rząd autonomicznej Wenus był notorycznie skorumpowany, i zawsze tak było. Sami Wenusjanie byli potomkami kulisów, sprowadzonych tutaj wiele stuleci temu z tropikalnej Azji. Wykazywali słabe zainteresowanie, jeżeli w ogóle jakieś, rządzeniem. Polityka wpadła więc w łapy białych awanturników, z których większość żyła na Wenus z jednego bardzo dobrego powodu – nigdzie indziej ich nie chciano. Rada Centralna luźnej Federacji Międzyplanetarnej rzadko wtrącała się w ich sprawy, chyba że chodziło o sprawy tak rażące, że oddziaływały na Federację jako całość.

Stary kupiec kosmiczny wysiadł z lektyki koło sali sądowej i przecisnął się przez stojący z tyłu tłum, akurat na czas by usłyszeć stuk, stuk, stuk młotka, obwieszczającego koniec rozprawy. W ławie oskarżonych stał wyzywająco Cappy Wilkerson, jego oczy błyszczały, a stalowo-siwa grzywa odrzucona była do tyłu. Wyglądał jak oburzony stary lew zapędzony do kąta przez stado szakali. Sędzia, młody człowiek z monoklem i sztywnymi, tapirowanymi czarnymi włosami, ubrany był w elegancki mundur wojskowy, co powodowało, że zupełnie nie wyglądał na prawnika. Cedził przez zęby wypowiadane słowa, tak jakby to co miał do powiedzenia inspirowane było przez jego osobistą złość.

— Wysłuchałem wszystkiego, co pan powiedział, włączając w to pańskie ohydne insynuacje na temat uczciwości tego sądu. Pańska wina

jest tak oczywista, że nie ma nawet potrzeby przechowywania zapisu tych głupich i złośliwych zarzutów…

W tym miejscu sędzia pogardliwie wrzucił plik kartek papieru do kosza na śmieci.

— Dlatego, biorąc pod uwagę nie tylko pańskie przestępstwo, ale także krnąbrne zachowanie przed sądem, skazuję pana na pięć lat ciężkich robót w jednym z naszych obozów więziennych, który wybierze Dyrektor Opieki Społecznej i Dobroczynności.

— Zarządza się dalej, że pański statek, razem z jego nielegalną zawartością, zostanie skonfiskowany i sprzedany na publicznej aukcji, w celu pokrycia kosztów niniejszego postępowania. Szeryfie! Wyprowadzić oskarżonego!

Hank Karns natychmiast zerwał się na nogi, rozpychając się łokciami i przeciskając przez tłum wychodzących żądnych sensacji gapiów. Jego głos aż załamywał się z oburzenia.

— Hej, nie możecie tego zrobić! — krzyknął.

Uwaga urzędników natychmiast skupiła się na nim, a twarz sędziego zaczęła robić się czerwona z gniewu.

— To jest sala sądowa — oznajmił, — a werdykty obradującego sądu są ostateczne. A teraz proszę się stąd wynosić, zanim pociągnę pana do odpowiedzialności za obrazę sądu!

— Niech to diabli wezmą! — wymamrotał Hank, odwracając się i wychodząc z budynku.

To nie było zwykłe wymuszenie. Wymagało to działania, i to szybkiego działania, ponieważ nie do pomyślenia było, by jego przyjaciel został odtransportowany na pełne robactwa, nawiedzane gorączką, niesławne Wielkie Bagna Wenus. Biali ludzie byli w stanie tam przeżyć najwyżej kilka miesięcy. Rok, nie mówiąc już o pięciu latach, równał się wyrokowi śmierci.

Jego wzrok przyciągnął biuletyn na budynku sądu, i kiedy zaczął go czytać, aż sapnął z wrażenia. Klej mocujący go do tablicy był ciągle mokry, ale tekst wyglądał na wydrukowany. Musiał być przygotowany co najmniej poprzedniego dnia. Głosił on:

INKASENT WYSTAWIA NA SPRZEDAŻ

Jeden skonfiskowany statek rakietowy, o nazwie *Wanderer*, z pełnym osprzętem. Jego ładunek składa się z różnorodnych towarów handlowych. Sobota. O szczegóły proszę pytać w Biurze Inkasenta.

— Pffff! — sapnął Hank. — To była naprawdę szybka robota. I dobrze zaplanowana.

Odwrócił się i ruszył w drogę do Biura Inkasenta.

Człowiek za biurkiem przy wejściu popatrzył na niego drewnianym wzrokiem.

— Już został sprzedany — poinformował go obojętnie, kiedy Karns po raz trzeci powtórzył swoje pytanie.

— Ale przecież biuletyn mówi, że w sobotę…

— Okay – mówi że w sobotę. I co z tego?

— A-ale mamy dopiero wtorek…

— Soboty mamy przecież w każdym tygodniu, kretynie. A teraz idź pan już sobie stąd i zacznij dla odmiany zawracać głowę komuś innemu. Mam dużo roboty.

Hank Karns zamrugał oczyma. Przecież w sobotę *Wanderer* dopiero tutaj przyleciał. Ci Wenusjanie zaczynali sobie pogrywać po chamsku. Musieli go sprzedać jeszcze tego samego dnia!

— Kim jest ten starzec? Wyrzucić go stąd!

Karns powoli się odwrócił i zmierzył wzrokiem nowego mówcę. Był to wielki mężczyzna, o świdrujących czarnych oczach, jastrzębim nosie i obfitej brodzie – dziwny widok na subtropikalnej Wenus, gdzie ludzie chodzili dla ochłody zupełnie ogoleni. Ale mężczyzna odwrócił się raptownie od niego i wszedł do wewnętrznego pomieszczenia w biurze, trzaskając za sobą drzwiami. Wzrok Hanka przez cały czas podążał za nim – utkwiony był w tylną część szyi faceta. Dosyć dziwnie, widać było na niej, tuż ponad linią barku, linię rozdzielającą dwa różne kolory. Ponad tą linią, co można było dostrzec dzięki temu, że człowiek ten rozpiął sobie dla wygody kołnierzyk, jego skóra miała normalny odcień bieli, zazwyczaj obserwowany na Wenus. Poniżej nakrapiana była czekoladowymi cętkami.

— Czy słyszałeś, co powiedział pan inkasent? — warknął urzędnik. — Wynocha!

Bez słowa, Hank odwrócił się i wyszedł z biura. Mijał pełne ludzi korytarze, nieomalże w oszołomieniu. Cappy Wilkerson został zesłany na Bagna, praktycznie skazany na śmierć. Jego statek został sprzedany jeszcze przed rozprawą, która została przeprowadzona dla jego skazania. I we wszystkim pełno tutaj było wyniosłej bezczelności, widocznie zainspirowanej przez tego apodyktycznego człowieka o podwójnej cerze. Co to miało znaczyć? W dodatku, Hanka mocno prześladowała myśl, że nie potrafi sobie, co prawda, przypomnieć tych ostrych oczu i drapieżnego nosa, to jednak gdzieś, kiedyś już tego człowieka spotkał. Na Wenus coś zdecydowanie śmierdziało.

Godzinę później siedział z ponurą miną w niewielkiej tawernie, którą znał od bardzo dawna, skrytej w ślepej uliczce znanej jako Artemis Lane. Przez ostatnie pół wieku stanowiła ona ulubioną przystań dla ludzi takich jak on.

— Widzisz więc jak to wygląda — podsumował barman. — W ten sposób, to już nie potrwa długo. Biorąc pod uwagę tych wszystkich weteranów, którzy zginęli albo wylądowali na Bagnach, jak u diabła miałbym utrzymać interes w ruchu? Nie, proszę pana, ta spelunka jest na sprzedaż – za tyle, za ile znajdzie się kupiec. Wypij, naleję ci następnego.

Kapitan Karns wziął drinka oferowanego mu przez posiwiałego właściciela tawerny, ale pomimo jego rozweselającej natury – jako że była to najczystsza „rosa komet” – wypił go w ponurym nastroju. Nigdy w całym swym długim i aktywnym życiu nie usłyszał tak wielu złych nowin za jednym posiedzeniem. Kolejny z jego starych kumpli miał poważne

kłopoty, a wszystko to dlatego, że postawił stopę na Merkurym. Merkury zdawał się stanowić śmiertelną truciznę, dla całego jego klanu. Ten element zbyt często się powtarzał, by mógł stanowić tylko zbieg okoliczności. Zbiegi okoliczności nie występują seriami.

— A co czyni tę sprawę jeszcze bardziej śmierdzącą — upierał się z goryczą oburzony barman, — to, że nawet jeden przeklęty palec nie podniósł się aby zatrzymać zalew trylobiny. Całe miasto jest jej pełne. Połowa tubylców przez cały czas jest na haju.

— Myślałem, że Federalni załatwili to dziesięć lat temu — skomentował słowa barmana Hank.

— Sprawa wróciła — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

Hank nic nie odpowiedział. Fakt, że trzech starych kumpli gniło na malarycznych bagnach Wenus, będąc przez cały czas wystawionymi upokorzenia brutalnych strażników, przekraczał jego zdolności pojmowania. A ponadto dwóch kolejnych – Bill Ellison i Jed Carter – zginęło na Merkurym, kiedy ich statki tajemniczo wyleciały w powietrze podczas startu. To także miało swe szczególne znaczenie, ponieważ ta dwójka, byli to jedyni członkowie klanu handlarzy, którzy uchodzili za dosyć krewkich i wojowniczych. Za młodych lat, oczywiście, każdy z nich był bardziej porywczy i zadziorny, ale w miarę zbieranego doświadczenia przekonywali się, że więcej można zyskać za pomocą gładkich słówek, niż gróźb. Jeśli Hank miał doprowadzić do uwolnienia swoich przyjaciół, musiał tego dokonać przy pomocy podstępu, wykazując się większym sprytem i przebiegłością niż ich wspólni wrogowie.

Jeśli miał doprowadzić! Nie było innego wyjścia. Musi tego dokonać. Chodziło tu przecież o Boba Merrilla i Bena Wilkersona, którzy kiedyś wyciągnęli jego, Hanka Karnsa, z jeszcze bardziej niebezpiecznych tarapatów. Było to ponad dwadzieścia lat temu, na odległym Io, i Hank aż się skrzywił na samo wspomnienie całej tej sprawy. Wtedy właśnie, na skutek machinacji głośnego gangu Von Klebera, uznano go za pirata i skazano za to przed sądem. Spędził szereg nienawistnych i wypełnionych grozą dni i nocy w kopalniach San Esperance, więzieniu federalnym, wydobywając radioaktywne rudy. Dwóch z jego przyjaciół – konkurentów usłyszało o tym i złożyło wniosek o nowy przewód sądowy, podczas którego wykazano, że został skazany na skutek fałszywych zeznań, aby przykryć rozprawę prawdziwych sprawców. Fala oburzenia opinii publicznej, którą wzniecili, nie ucichła dopóki Von Kleber i jego przestępcy nie znaleźli się w końcu za kratkami.

Nie, nie było wyboru. Cappy Wilkerson i Cappy Merrill muszą zostać zwolnieni, a Ellison i Carter pomszczeni. Jak? To pozostało do ustalenia.

— Wa-al — przeciągnął starannie Hank, podjąwszy w głowie pewne decyzje. — Muszę cię pożegnać. Wybieram się na małą wycieczkę na Merkurego i z powrotem.

Barman pokręcił głową pełen złych przeczuć.

— Największym głupcem jest stary głupiec — stwierdził i nie roześmiał się.

Karns przystanął na chroniącym przed deszczem ganku na zewnątrz baru. Poczuł, że coś go uwiera pod podkoszulkiem i po dłuższej chwili

obmacywania przypomniał sobie o swoim notatniku. Wyciągnął zniszczony i pełen oślich uszu notes. Przerzucał pożółkłe kartki, aż w końcu znalazł jedną stronę pełną tajemniczych wpisów. Wyglądały one na poczynione już dawno temu, ale kilka dopisków między liniami tekstu sporządzonych różnymi kolorami atramentu, wskazywało, że od czasu do czasu dokonywano poprawek w ich oryginalnym zapisie.

W połowie strony znajdował się punkt P2, i to co znajdowało się pod nim zostało dwukrotnie zmienione. W miejscu tych wpisów znajdowała się linijka tekstu, mówiąca: „Vbg. – towary z wikliny – 4½B, Eros.” Hank przeczytał tę linijkę dwa lub trzy razy, a potem zamknął notes i umieścił go z powrotem w bezpiecznym ukryciu. Starannie ściągnął pasek swojego płaszcza przeciwdeszczowego i naciągnął mocno na głowę czapkę sztormową. Potem zanurzył się w mokrej mgle wiszącej nad Artemis Lane.

Chlapiąc na wszystkie strony przedzierał się przez błoto i wodę, dochodząc w końcu do głównej drogi. Ruszył w prawo i brodził nią, dopóki nie dotarł do skrzyżowania, na którym kończyła się Erosville Road. Skręcił w wijącą się, błotnistą uliczkę i przeszedł nią cztery budynki. Kilkanaście kroków dalej, stanął, uniósł wzrok i zaczął rozglądać się spod ociekających wodą brwi, na otaczające go szyldy. Po drugiej stronie ulicy znalazł to, czego szukał – zwisającą markizę z topornie wymalowanym napisem: „An Shirgar – Sprzedawca Wyrobów Wiklinowych Tubylców”. Na znajdującym się pod nią mokrym oknie widać było kolejny napis: „Tu mawić po anglijsku”.

Hank zatrzymał się na chwilę pod markizą, aby wycisnąć trochę wody z butów, a potem wszedł do środka. Powitał go śniady Wenusjanin w turbanie, służalczo pocierający złożonymi razem dłońmi i kłaniający się w pas na każdym kroku.

— Tek, wosza wielmużność. Witom w naszom skromnom sklepie. Czegu wosza wielmużność subie życza?

— Wyrobów z wikliny — cierpko oznajmił mu Hank. — Na eksport.

— Ach — westchnął przedstawiciel An Shirgar. — Towor na stotek, co? Pon zopłoci?

Kapitan Karns pokręcił przecząco głową i wskazał na drzwi do biura, z tyłu.

— Ach, wiklino. Nie zapłoci. Może chcieć szef?

— Tak, kopnij się po niego — powiedział Hank i zaczął obmacywać doskonałe kosze, wyplatane przez zamieszkujących wzgórza Wenusjan. Wiedział, że zajmie to parę chwil, zanim przyjdzie Ziemian, jeśli wszystko funkcjonowało tu tak, jak w ich oddziale na Callisto, dwadzieścia lat temu. Po pewnym czasie, nie zdając sobie nawet sprawy z tego jak, uświadomił sobie, że w sklepie pojawił się ktoś nowy, przyglądając mu się z oddali.

— Witam — powiedział odwracając się do przybysza. — Potrzebuję czegoś w rodzaju dofinansowania do interesu, który jest za duży, abym sam go ugryzł – czy znalazłem się w odpowiednim miejscu?

— Być może — odparł powściągliwie mężczyzna. Był to typowy ziemski biznesmen, nieznacznie powyżej trzydziestki, łysawy i wyraźnie nie mający czasu na głupoty. — Dla zasady nie dotykam niczego, w czym nie

widzę dla siebie zysku. I nie może być mowy o ryzyku poniesienia straty. Jakie ma pan zabezpieczenie?

Hank wspomniał o swoim statku. Mężczyzna parsknął i zaczął się odwracać od niego.

— Marnuje pan czas.

— Mam jeszcze ten pierścień. To jest – no cóż – coś w rodzaju rodzinnej pamiątki.

Mężczyzna wrócił. Nadal nie był specjalnie zainteresowany, ale wziął pierścień, podany mu przez Hanka, i zważył go w dłoni. Potem włożył do oka lupę i przyjrzał mu się dokładnie.

— Czy pan już go kiedyś zastawiał?

— Tak — zachichotał Hank Karns. — A potem go odzyskałem.

— Hmmm — zawahał się mężczyzna. — Wygląda na prawdziwy. Czego pan potrzebuje?

— Mam… ehem… zamiar wpaść na Merkurego, żeby trochę pohandlować. Kiedy wrócę, być może będę chciał kupić jakiś wiklinowy fotel lub dwa – niewykluczone że nawet do całego domu – i chciałbym się zabezpieczyć, że będę mógł to sfinansować.

— Drogi przyjacielu, mówi pan bardzo zagadkowo — stwierdził mężczyzna z dziwnym, napiętym uśmieszkiem. Przez cały czas z zamyśleniem podrzucał i chwytał pierścień.

— Jestem tylko niezależnym handlarzem — przyznał ze smutkiem Hank — i nie wiem jak miałbym to jaśniej wyrazić. A może tak – zatrzyma pan ten pierścień na czas mojej nieobecności – powiedzmy, żeby go wycenić. Chciałbym tylko wiedzieć, z kim mam się skontaktować, kiedy wrócę. *Jeżeli* wrócę.

Mężczyzna schował pierścień do kieszeni.

— Skąd będzie pan chciał się połączyć?

— Nie wiem. Może z kosmosu. Może z więzienia.

— Moim kontaktem radiowym jest asystent zarządcy nabrzeża w stoczni w Venusbergu. Proszę jakoś wspomnieć o stanowisku dwudziestym trzecim. Co do tej sprawy z więzieniem, to z zasady nie robię interesów z ludźmi siedzącymi w więzieniu. W takim przypadku, biorąc pod uwagę ten pierścień, mógłbym panu przysłać adwokata. Proszę powiedzieć Rashabowi, klawiszowi – pozna pan go po podwójnej bliźnie na podbródku – że chce pan rozmawiać z panem Brownem. Nie mogę panu zagwarantować, że prawnik przyjdzie, ale jeśli tak, to proszę pamiętać, że to bardzo bezwzględny i podstępny człowiek, a więzienie w Venusbergu jest wręcz usiane mikrofonami i skanerami. Jeśli to, co pan planuje, niezbyt legalnie pachnie, prawdopodobnie zostawi pana na łasce losu.

— Dobra — ostro rzucił Hank, zaczynając zapinać zatrzaski swego płaszcza przeciwdeszczowego, — będę pamiętał. Tylko raczej nie wydaje mi się, żebym potrzebował akurat prawnika. Jeśli ta paka jest tak nafaszerowana urządzeniami szpiegującymi, potrzebny będzie mi stary przyjaciel – człowiek mojego pokroju.

Mężczyzna, jakkolwiek by się nazywał, ponieważ ciągle jeszcze się nie przedstawił, po raz pierwszy szczerze się roześmiał. Klepnął kapitana w plecy.

— Ludzie pańskiego pokroju, stary oszuście, to gatunek wymarły, jak konie.

Hank uniósł wzrok, aby odpowiedzieć mu śmiechem, ale mężczyzna już zniknął. W jego miejscu stał Wenusjanin w turbanie, ciągle wykonujący dłońmi gesty zbliżone do ich mycia.

— Woszej wielmużności nie podobają się towory z wikliny? Wosza wielmużność już idzia?

— Moja wielmożność, tak. Już sobie idę.

Hank nasunął na głowę czapkę sztormową i pchnął drzwi. Pół godziny później przygotowywał się już do lotu na Merkurego. Był to strzał w ciemno, ale musiał podjąć to ryzyko.

— Do diabła z tym wszystkim — pomyślał Hank. Potem energicznie zawołał do chłopaka, którego zabrał ze sobą w tę podróż, jako pomagiera od wszystkiego. — Hej, Billy, ruszaj się! Weź pogoń ich, żeby szybko załadowali te grabie!

— **A** więc, to jest Merkury! — wykrzyknął Billy Hatch cztery dni później, wpatrując się wygłodniałymi oczyma w płytę wizyjną. To była jego pierwsza podróż międzyplanetarna.

— Taaa — stwierdził Hank. — To najbardziej paskudna planeta ze wszystkich, w całym zakichanym układzie. Jeśli ktoś jej nie odwiedził, nie może powiedzieć, że widział żeby naprawdę wiało. To właśnie do tego potrzebne im są te grabie. Żeby poruszać się po Merkurym, trzeba położyć się na brzuchu i przeciągać przy ich pomocy. To piekielne miejsce. Słońce nad głową usmażyłoby cię na frytkę, gdyby przez cały czas nie wiał lodowato zimny huragan, który cię chłodzi.

— Jak to możliwe, panie kapitanie?

— Konwekcja, to właściwe słowo, które wszystko wyjaśnia. Po jednej stronie Merkurego panuje potworne gorąco, po drugiej jest zimniej niż pod górą lodową. Powietrze nad rozpaloną pustynią unosi się pionowo do góry, a potem opada w dół nad lodowcami po tylnej stronie planety. Następnie pędzi z powrotem nad pustynię – i to jak! Nikt nie przeżyłby nawet godziny w żadnym miejscu na tej planecie, gdyby nie pamiętał o pasie mocującym, a to kompletny idiotyzm. Wszędzie tutaj dmucha stały wiatr o szybkości stu-dwustu mil, zmierzający prosto w słońce, ponieważ znajduje się ono tuż nad horyzontem. Po zawietrznej stronie swojego domu możesz spłonąć, zaś w jego cieniu zamarzniesz na kamień w ciągu pięciu minut. Same domy muszą być mocno zbudowane i mieć opływowe kształty.

Hank przez cały czas czujnie obserwował, zmierzającą im na spotkanie ziemię. Cumowanie statku na tym wietrze, wymagało najwyższych umiejętności.

— Tak jak ci powiedziałem, to diabelskie miejsce. Nic tu nie rośnie, poza czymś w rodzaju trawy i odrobiną mchu. Jedyne zwierzęta, to szkodniki jak kangrele czy troklebeki. Lecimy kupować właśnie pazury kangreli i skóry troklebeków.

Billy Hatch słuchał, zapomniawszy o całym świecie. Dla niego była to czysta romantyka.

— Troklebek jest stworzeniem podobnym do pancernika, tylko że ma rogi i wielkie pazury, którymi czepia się ziemi. Pasie się, ustawiając łeb pod wiatr. Kangrela zbudowana jest na kształt kraba i też ma pazury. Pełzając podąża za troklebekami i zabija je, kiedy żerują. Łuski troklebeków i pazury kangreli są twarde jak diabli. Używa się ich w przemyśle maszynowym.

— Och — odparł Billy.

— Tam na dole lepiej jednak mieć oczy wokół głowy i używać haków, ponieważ pewne przymocowanie się do ziemi, to niełatwa rzecz. Jeśli ktoś straci z nią kontakt, to jest z nim naprawdę źle. Wiatr go niesie i niesie, przez całe mile, jak amen w pacierzu.

Hank na razie zamilkł. Prawdę mówiąc, nie miał jeszcze zamiaru lądować. Celowo nadleciał od złej strony planety, jak na podejście do lądowania koło niewielkiego składu handlowego Sama Atkinsa. Chciał najpierw ogólnie rozejrzeć się po powierzchni, z lotu ptaka. Leciał właśnie nad wyżłobioną przez wiatr doliną, kiedy dostrzegł pierwsze oznaki dużych zmian. Za ogromnym sztucznym wiatrochronem znajdowała się grupa nowych budynków, a jeden z nich zwieńczony był kopułą z przysadzistym kominem. Zaledwie kilka mil dalej widać było kolejny nowy dom, a koło niego niewielki magazyn. Tuż za położonym za nim łańcuchem niskich wzgórz leżała siedziba Atkinsa.

— Przygotuj się — ostrzegł pomocnika Hank, kierując dziób statku w środek huraganu i zaczynając wytracać wysokość. — Nie wypuszczaj kotwic, dopóki ci nie powiem – czyli praktycznie kiedy będziemy już na ziemi.

Kiedy tylko kil statku musnął grunt, Karns wydał sygnał i kotwice opadły. W tej samej chwili wyłączył rakiety i statek zaczął przewracać się na zawietrzną, ciągnąc za sobą kotwice. Na chwilę załapały, potem puściły i załapały ponownie. Tym razem już trzymały. Hank mimowolnie wydał z siebie długie westchnienie ulgi. To było doskonałe lądowanie. Dom Sama Atkinsa położony był zaledwie sto jardów obok nich.

Pozostało jeszcze wystrzelenie liny nad placówkę handlową i umocowanie jej z obu końców. Atkins wyszedł z domu, aby wykonać swoją część pracy. Następnie kapitan Karns przeciągnął się wzdłuż liny do domu i pozwolił wholować się do środka przez właściciela sklepu.

— Cieszę się, że cię widzę, Hank, i jednocześnie bardzo tego żałuję — brzmiało powitanie Sama Atkinsa. Atkins należał do ludzi nieco zrzędliwych i sam sobie wybrał tryb życia odludka. Zdawał się, cieszyć samotnością smaganego wichrami pustkowia Merkurego i żmudną, niestrudzoną pracą nad łapaniem kangreli.

— Czemu żałujesz, Sam? — spytał Hank niewinnym tonem, tak jakby nigdy nie odwiedził Wenus.

Atkins spojrzał na niego żałośnie i wskazał kciukiem na wschód.

— Mam sąsiadów – i to kiepskich. Cokolwiek chcesz zrobić, lepiej do nich nie zachodź. W jakiś sposób cię oszukają. Nie chcą, aby tacy

outsiderzy jak my tam się pojawiali, a mają swój własny statek, który przylatuje tu mniej więcej raz na tydzień.

Hank uniósł brwi.

— Troklebeki musiały rozmnażać się szybciej niż zwykle — zauważył. Normalnie Merkury nigdy nie produkował więcej, niż by opłacało się przylatywać tu częściej niż dwa razy w roku.

— Troklebeki — stwierdził Atkins — praktycznie wyginęły. A kangrele głodują. Wątpię, czy zdołałbym zebrać cztery skrzynki pierwszorzędnych pazurów, nawet gdyby miało to uratować moją duszę. To wina pagras. To miejsce wręcz roi się od nich. Kąsają troklebeki, a te przewracają się i zdychają.

— Mmmm — skomentował Hank. Dobrze pamiętał te węże. Zwierzęta te pochodziły z Wenus – rodzaj jaszczurów, bardzo jadowitych. Były to naprawdę węże z nogami, posiadały trzydzieści sześć zakończonych pazurami kończyn i podobne do krabich szczypce wyrastające w pobliżu głowy, ale miały smukłe ciało, rzadko przekraczające jard obwodu, przy trzydziestostopowej długości.

— Zamykam sklep tutaj — powiedział po chwili Atkins. — Możesz wziąć sobie co tylko chcesz z mojego dobytku, jeśli zabierzesz mnie i wysadzisz na swoim następnym przystanku.

— Na razie zachowaj sobie swoją koszulę, Sam — odparł Hank, — z pewnością nie zrobię nic tak paskudnego. Chyba się wybiorę i trochę pogadam z tymi gośćmi z następnej doliny…

Sam Atkins popatrzył na niego z gniewem.

— Największy głupiec, to stary głupiec — zauważył z rezygnacją.

Hank zachichotał.

— Zdaje się, że wielu ludzi ma o mnie całkiem podobną opinię. Ale załatwmy to, tak bym mógł wkrótce ruszyć dalszą w drogę.

Odcumowanie i wciągnięcie kotwic, mając do pomocy tylko kompletnie zielonego chłopca, było trudnym zadaniem, ale Hank zdołał tego dokonać. Pomimo wszystko przelecieć statkiem tę milę nad grzbietem wzgórz, było jednak znacznie łatwiejszym manewrem, niż próbować pokonać tę odległość pełzając po ziemi, w szponach nieustannego tajfunu. Ponadto, jeśli znajdzie się jakiś ładunek do zabrania na pokład – a Hank czuł dziwną pewność, że tak będzie – statek trzeba by było i tak przestawić. Tak więc wystartował, obleciał planetę i ponownie podszedł do lądowania tym razem koło niewielkiego budynku biurowego i składu, w pobliżu chaty Atkinsa. Dołożył wszelkich starań, żeby nie zbliżyć się do żadnej innej grupy budynków.

Kiedy obniżał lot, rozglądając się za dobrym miejscem do zaczepienia chwytaków, pilnie wypatrywał również oznak życia wokół budynków. Dostrzegł tylko dwóch opalonych ludzi, obaj byli łysi jak kule bilardowe, pracujących nad czymś, chroniąc się przed wiatrem za magazynem. Na widok zbliżającego się statku kosmicznego, jeden z nich wszedł do magazynu, drugi zaś złapał się liny poręczowej i pozwolił by wiatr zdmuchnął go po niej do budynku, wyglądającego na biuro. Mężczyzna miał na sobie gruby pikowany strój z szarego materiału – tak gruby, by w

razie utraty uchwytu i zdmuchnięcia przez wiatr, nie potłukł się śmiertelnie o nierówności terenu.

Za czwartym razem, Hankowi udało się posadzić statek na ziemi, niedaleko od wejścia do biura. Tym razem wylądował po zawietrznej i musiał dostać się do budynku pod wiatr, przeciągając się po gruncie przy pomocy merkuriańskich pomocników lub korzystając z jednych z grabi z potężnymi zębami, zabranych jako towar na wymianę. Czołgając się zauważył, że był obserwowany z wąskiej strzelnicy koło wejścia. Jednak kiedy podciągnął się do pozycji pionowej, drzwi stanęły otworem i stanął w nich mężczyzna, aby go powitać.

— Witam, panie kapitanie — oznajmił serdecznie gospodarz, — miło mi pana poznać.

Mężczyzna, jak zauważył Hank, ciągle ubrany był w gruby, pikowany strój, i ciężko oddychał. Ale miał gęstą czuprynę na głowie i bujny wąs.

— Witam pana — odpowiedział handlarz. — Pfuj! Ta planeta, to strasznie piaszczysty brzeg – słyszałem o niej, ale jeszcze nigdy jej nie widziałem. Moje tereny to Trojańczycy i inne asteroidy w tamtym zakątku…

— Naprawdę? — rzucił mężczyzna, pomagając swojemu gościowi przedostać się przez drzwi. Biuro mieściło się w jednym pokoju i w środku nie było nikogo poza nimi. Na stole stała butelka fioletowego trunku i dwie szklaneczki. — Napije się pan? To miejscowy wyrób – nasza merkuriańska wersja rosy komet – robiony z kwiatów rosnących pod nawisami lodowymi.

— Proszę sobie nie przeszkadzać, obsłużę się — odparł Hank i usiadł na wskazanym siedzeniu. — Jak już mówiłem, pomyślałem sobie, że rzucę okiem na tę planetę, kiedy będę robił skok przez peryhelium do domu. Muszę tam lecieć na ślub mojej najstarszej wnuczki.

— Nie byłby pan może zainteresowany przewozem odrobiny ładunku? — spytał mężczyzna. — Nasz statek się spóźnia, a ja miałbym trochę towaru do dostarczenia na Wenus.

— Ładunku nigdy za wiele — powiedział Hank, — ale nie tym razem. Nie mogę się zatrzymać na Wenus – mam za mało czasu.

— No cóż — stwierdził gospodarz, bagatelizując sprawę — nie mówmy więc o tym. Myślałem tylko o przesłaniu paru skrzyń pazurów i skór dla naszego agenta w Venusbergu, na sprzedaż na tamtym rynku. Jesteśmy nową firmą i nie mamy jeszcze punktów sprzedaży na Ziemi, chyba że chciałby pan zaryzykować na swoje własne konto i kupić je bezpośrednio od nas.

— Handel to moje życie — oznajmił pogodnym i uprzejmym tonem Hank. I dodał jeszcze z leciutkim cieniem chytrości w głosie: — Jeśli, oczywiście, cena będzie uczciwa.

— Och, nie pójdziemy o to do sądu — roześmiał się mężczyzna. — Skóry są dla nas produktem ubocznym – to zakład farmaceutyczny. Z hormonów tych zwierząt wyrabiamy lekarstwa. Te rogi może pan dostać naprawdę za grosze.

Spędzili znaczną część godziny na dobrodusznych targach, dziecinnie zachowujący się starszy człowiek, podnoszący jedną trywialną obiekcję za

drugą, aby utargować jakieś drobne sumy – głównie w kwestii wyceny wartości różnych towarów handlowych, które mógł zaoferować. Żaden z niezależnych handlarzy nie prowadził interesów w gotówce. Nazwa statku – *Swapper* – pasowała jak ulał.

W końcu uścisnęli sobie ręce, dobijając targu – i z punktu widzenia handlarza interes był ewidentny. Pan Raoul Dement, jak przedstawił się miejscowy przedsiębiorca, podarował odwiedzającemu go kapitanowi dwie butelczyny fioletowego trunku, zgodnie ze starym handlowym zwyczajem.

— Niezła rzecz — zauważył Hank, oblizując wargi. — W życiu nie piłem niczego lepszego.

— W magazynie mamy dwanaście skrzynek — oznajmił Dement, mrugając okiem. — Gdyby miał pan ochotę na odrobinę szmuglerki, mógłby pan z tego wyciągnąć niezły zysk. Ale, oczywiście…

— Do licha! — wybuchnął Hank. — Handel rosą komet, to nie grzech. Chciałbym mieć choć dziesiątaka za każdy galon jaki przytargałem. Kiedyś, za dawnych lat, wlepili mi małą grzywnę, ale co mi tam – między nami mówiąc, klienci zawsze za to dobrze zapłacą.

Potem było jeszcze trochę targów, ale efekt był taki, że Hank wziął wszystko, co mu oferowano.

— Dobrej drogi — powiedział pan Dement. — Gdyby jeszcze kiedyś przelatywałby pan w pobliżu, proszę wpaść w gości.

— Z pewnością skorzystam — odparł Hank, uważnie przyglądając się gospodarzowi. Szczególnie zainteresowało go jego czoło. Mniej więcej cal od prawej skroni widać było na nim niewielkie wgłębienie – nieusuwalną bliznę po starej ranie głowy.

Kiedy Swapper ruszył po swej wiodącej w stronę Ziemi trajektorii, Merkury ciągle wisiał z tyłu wielkim dyskiem.

— Nie śpij tam, Billy. Mamy mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Cała uprzejmość, naiwność i dziecinna łatwowierność zniknęła już z twarzy Hanka. Wyglądał bardziej jak wyczerpany pracą gnom niż lekko tylko chudszy Święty Mikołaj. Rozpakowali każdą skrzynkę i rozłożyli jej zawartość na pokładzie, szukając kontrabandy znacznie poważniejszej natury, niż nieszkodliwa rosa komet. Jednak w żadnej ze skrzynek nie było nic, poza rzeczami zadeklarowanymi w fakturze. Hank pozostawił spakowanie wszystkiego z powrotem chłopakowi i wyruszył w krótki obchód samego statku.

I zajął się tym w samą porę. Za konsolą sterowniczą – ukryte pod zasłoną kłębów zwisających przewodów elektrycznych – znajdowały się dwie termo-bomby. Ich cewki detonujące, były już bardzo gorące. Konsola sterownicza podzielona była na trzy pulpity, każdy z nich sterował pracą pary przeciwlegle położonych z sześciu silników, rozmieszczonych w sześciobok na rufie. Dwa z tych pulpitów właśnie miały zostać zniszczone przez ogień.

W pierwszym odruchu Hank chciał zerwać mocowania bomb i pozwolić im spłonąć nieszkodliwie na pokładzie, ale nagle zmienił zamiar. Cofnął

rękę i wsadził poparzone palce do ust. Potem wykrzyczał ostrzeżenie dla Billy'ego Hatcha.

— Hej! Uwaga na wybuch. Przynieś gaśnicę, szybko!

Chłopak natychmiast przybiegł do niego, ale przez kilka minut nic się nie działo. Potem oba pulpity stanęły w płomieniach. Zgasili ogień, ale zniszczenia zostały już dokonane. *Swapper* niemalże nie mógł przyśpieszać. Przy tej szybkości nie był w stanie dolecieć na Ziemię. Statek musiał doczołgać się na Wenus na dwóch pozostających silnikach i pójść do stoczni, aby elektrycy zamontowali nowe okablowanie.

— Całkiem nieźle — stwierdził Hank z podziwem, kontemplując swoje zniszczone stery.

— Zrobiłem wszystko, co mogłem, panie kapitanie — skromnie odparł Billy, sądząc, że skarga skierowana była w jego stronę.

— Zachowałeś się doskonale, synu — powiedział szyper. — No dobrze, połóż się już do łóżka. Ja zajmę się resztą.

Hank nie od razu zmienił kurs na Wenus. Ciągle nie był jeszcze usatysfakcjonowany tym co wiedział i co powinien wiedzieć o swoim statku i pozornie nieszkodliwym ładunku. Oczywistym było, że to Dement rozkazał umieszczenie tych dwóch bomb, aby spowodować, że *Swapper* poleci na Wenus. Łatwo było również się domyślić, że jego sugestia, aby zabrać na pokład alkohol, była wybiegiem zapewniającym nałożenie na statek aresztu i jego konfiskatę, jako nieuchronną konsekwencję, biorąc pod uwagę sposób działania sądów na Wenus. Ale dla podejrzliwego umysłu Hanka, w tym wszystkim musiało kryć coś się więcej. Przede wszystkim, mógłby temu wszystkiemu zapobiec. Mógłby przecież oderwać i wyrzucić bomby, zanim one wybuchły, a ciągle jeszcze mógł wyrzucić alkohol za burtę. Ponadto, jeśli celem, jaki chcieli osiągnąć, była zwykła eliminacja wszystkich odwiedzających Merkurego, te bomby po prostu zawierałyby ładunek feroksytu i zadaniem ich byłoby całkowite zniszczenie statku, tak jak się to stało w przypadku otwarcie wrogich Merrilla i Cartera. Nie. Główny wątek spisku wymagał, aby Swapper poleciał na Wenus i dopiero tam miano się go pozbyć. Dlaczego? Musiał to wszystko dobrze przemyśleć.

Nagle wstał i otworzył swój niewielki sejf. Wyciągnął grudkę radu z ołowianego pojemnika, w którym była przechowywana, i przygotował fluoroskop. Potem wyciągnął ze skrzyni jedną ze skór troklebeka. Zaczął ją systematycznie przeszukiwać od rogów do krótkiego ogona, od pokrytego łuskami grzbietu, do pazurów na łapach. Po pewnym czasie odłożył fluoroskop. Uśmiechając się pod nosem, poszedł na rufę i zabrał obcęgi, młotek i dłuto z utwardzonej stali.

Jeden z rogów odpadł, kiedy tylko zaczął nim kręcić. Po badaniu fluorescencyjnym wiedział już, że był on wydrążony i wypełniony jakąś substancją, ale chciał się upewnić. Wytrząsnął na dłoń znajdujący się w środku blado-zielony proszek i powąchał go. Tak, to było to. Czuć było niemożliwy do pomylenia z czym innym zapach zgniecionych wiśni i mdlącą słodkość haszyszu kosmosu – trylobiny! W końcu do czegoś doszedł. Rozłupał parę losowo wybranych łusek grzbietowych i stwierdził, że każda z nich zawierała w środku kilka gramów zdradzieckiego

narkotyku. Jedna taka skóra, dostarczyłaby zapasów dla dealera detalisty na wiele miesięcy, każda łuska pokrywała koszty dostawy.

Nie zwlekał już dłużej. Zmienił kurs na Wenus i równocześnie usiadł do aparatu radiowego. Wysłał wiadomość:

„PILNE: Stocznia Venusberg. Do wiedzy asystenta zarządcy nabrzeża. Cztery silniki uległy wyłączeniu z powodu pożaru tablicy rozdzielczej. Proszę zarezerwować dla mnie stanowisko dwadzieścia trzy. Przewidywane postawienie w stan oskarżenia. Czy może pan zarekomendować prawnika? (podpisano) Hank Kearns, kapitan TS *Swapper*."

— No cóż — powiedział do siebie, kiedy uważnie pozmiatał z pokładu wiele mówiący zielony proszek i dodał go do zawiniątka z rozłupanymi łuskami i wydrążonymi rogami, przygotowując to wszystko do wystrzelenia przez rurę do wyrzucania śmieci. — Wystrzeliłem swoją boję alarmową. Teraz zobaczymy, jak sprytny okaże się pan Brown.

Bardzo szybko przekonał się, że termo-bomby były tylko dodatkowym środkiem zabezpieczającym. Nie musiał czekać dłużej niż parę godzin, kiedy głośnik jego radia zaczął buczeć. Spojrzał na niego z zaskoczeniem, ponieważ ciągle jeszcze był daleko od Wenus. Komunikat, który zaczął z niego dobiegać był szorstki i władczy.

— *Swapper*, zatrzymać się do przyjęcia grupy abordażowej. Zatrzymać się, albo poniesiecie poważne konsekwencje. Tu Straż Kosmiczna. Zatrzymać się!

Hank wyłączył silniki rakietowe i poszedł do śluzy powietrznej, aby poczekać na podejście krążownika. Nie trwało to zbyt długo.

Do środka wskoczyło dwóch oficerów w eleganckich mundurach.

— Proszę pokazać mi swój manifest — rozkazał krótko jeden z nich, podczas gdy drugi od razu skierował się do ładowni. Po chwili wrócił z dwiema flaszkami fioletowej rosy komet.

— To stare pudło jest pełne tego towaru — zameldował swojemu towarzyszowi. — Są go całe skrzynki.

— Tak — oznajmił pierwszy, — a w manifeście ani słowa na ten temat. To będzie już drugi z tych starych capów, którego przygwoździliśmy w tym miesiącu – jak myślisz, chyba nie możemy nazwać tego zorganizowaną grupą przestępczą?

— A czemu nie? — sprzeciwił się drugi.

Hank nie odpowiedział niczym, poza zwykłymi głośnymi protestami, jakich należało oczekiwać od niego w tej sytuacji. Potem zapadł w ponure milczenie, podczas gdy dwójka przybyszy zajęła się przekazywaniem poleceń dla swojego statku, aby kontynuował akcję.

Nie polecieli do stoczni komercyjnej, ale do oficjalnej. Tam spotkali się z nimi inni funkcjonariusze i Hank został odprowadzony prosto do więzienia. Po drodze protestował na każdym kroku, domagając się zabrania przed oblicze ziemskiego komisarza-rezydenta, albo spisania w zwykły sposób. Oba te żądania zostały odrzucone. Następnie poprosił o adwokata.

— Oszukujesz sam siebie, starcze — oznajmił jeden z jego strażników. — Jesteś teraz na Wenus. Tutaj, a nie gdzie indziej.

I tak było. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Zakratowane drzwi zamknęły się z hukiem za jego eskortą powitalną, z wrażeniem absolutnej ostateczności.

— Cześć, papciu! — wrzasnął jakiś bandzior przez korytarz. — Za co cię wsadzili?

Potem nic specjalnego się nie działo. Hank rozejrzał się po swojej ciasnej celi i zajął się jak najlepszym urządzeniem się w niej. Siedzenie samemu pod kluczem może być trochę nudne, ale za jakiś dzień, czy dwa może pojawi się tajemniczy pan Brown.

Nadszedł kolejny dzień, ale nie było nawet śladu pana Browna. Jednak kolejnego dnia, wczesnym rankiem, w jego celi pojawił się inny gość. Hank usłyszał zbliżające się kroki i pobrzękiwanie kluczy. Drzwi celi stanęły otworem i do środka wszedł wysoki nieznajomy. Mężczyzna był dosyć stary oraz miał na sobie wyblakły i cały połatany mundur kapitana statku kosmicznego. Ewidentnie był on niezależnym handlarzem, ale jeśli tak, to chyba jedynym we wszechświecie, którego Hank nie znał. Ponieważ tego człowieka, o nastroszonych, gęstych brwiach i spoglądających spod nich twardych, stalowych oczach, widział po raz pierwszy w życiu.

— Dwie minuty, nie dłużej — ostrzegł strażnik i stanął z tyłu w korytarzu, skąd mógł wszystko widzieć i słyszeć.

— Witaj, Hank — oznajmił przybysz. — Jakże pięknie by było, gdyby Tom Bagley nie musiał spędzać połowy swojego czasu na wyciąganiu cię z paki i płaceniu za ciebie grzywien. Ale nie, ledwie tutaj wylądowałem i już słyszę, że znowu wsadzili cię do mamra. Powiedziałem więc sobie, mówię ci…

— Taaa, Tom, wiem — odparł Hank ze skruchą, próbując nie spoglądać na podsłuchującego strażnika.

W środku aż kipiał pełen wątpliwości i ciekawości. Czy ten tutaj, to mógłby być jakiś sługus inkasenta, próbujący go oszukać, czy może pracował dla pana Browna? Pamiętał, że powiedział facetowi w sklepie w wyrobami z wikliny, że tak naprawdę potrzebuje człowieka swojego własnego pokroju. Może udało mu się znaleźć jakiegoś. W każdym razie zdecydował się udawać, że zna przybysza.

— No dobrze — mówił dalej nieznajomy, — odwiedziłem gościa o nazwisku Brown, którego tutaj znam, i spytałem go co robić. Powiedział, że sprawy wyglądają bardzo kiepsko i radzi aby przyznać się do winy i siedzieć cicho. Może uda się wyjść z tego z grzywną, albo czymś podobnym. I że ma trochę twoich pieniędzy. Załatwił mi to wejście, ale powiedział, że drugi raz już mu się nie uda. Powiedz mi więc, Hank, co chcesz, żebym zrobił? Za jakiś dzień, dwa muszę lecieć stąd na Merkurego.

Hank przez chwilę mierzył mężczyznę wzrokiem. Był w kropce. Ten człowiek ewidentnie był od Browna, ale on nie znał żadnego z nich osobiście. Ci gorsza, strażnik słyszał każde słowo, a bez wątpienia działały tutaj również dyktafony. Ale dwie minuty wkrótce upłyną, a drugiej wizyty nie będzie.

— Powiem ci, Tom, jest tylko jedna rzecz, którą mógłbyś dla mnie zrobić. Będę musiał odcierpieć za swoje grzechy, jak sądzę, ale nie mogę znieść, że stracę przez to te skóry i rogi troklebeków. Te stworzenia wymierają – są mordowane przez pagras. Te przeklęte węże są wszędzie na Merkurym. Możesz nie mieć tyle forsy, żeby wykupić te rzeczy, ale postaraj się przypilnować co się z nimi stanie, dobrze? Teraz nie są zbyt wiele warte, ale pewnego dnia mogą być bardzo cenne. Jest tutaj pewien facet z Io, który może ci za nie dobrze zapłacić, jeśli uda ci się go znaleźć.

— Czas minął — ostro rzucił strażnik, robiąc krok do przodu.

— W porządku, ty stary draniu — oświadczył jowialnie fałszywy kapitan statku handlowego. — Zrobię co tylko się da. Tylko bądź ostrożny z tym sędzią. Jest ostry.

Drzwi zatrzasnęły się i z korytarza doleciał cichnący odgłos kroków, odbijających się głuchym echem od metalowych ścian.

Posępny dzień przechodził w następny posępny dzień. Wielokrotnie Hank słyszał rozbrzmiewające w korytarzu kroki, a potem grzechot kluczy, kiedy otwierano któreś z drzwi, zaś kolejny nieszczęśnik otrzymywał polecenie wyjścia z celi na spotkanie swemu przeznaczeniu – wyrokowi zmieniającemu jego status z powolnego gnicia w suchym więzieniu na szybkie gnicie na mokrych Bagnach. Nigdy jednak nie były to drzwi Hanka.

W końcu jednak nadszedł dzień, kiedy strażnicy zabrali go do identycznie wyglądającego sądu, jak ten w którym skazano Wilkersona. Prezentacja dowodów była krótka i bardzo celna. Zatrzymano go, gdy próbował prześlizgnąć się na Wenus, podczas gdy papiery przewozowe wskazywały jako miejsce docelowe jego lotu Terrę. Miał na pokładzie osiem skrzynek z nielegalnym alkoholem. Nie potrafił na to wszystko udzielić dostatecznych wyjaśnień. Wyrok brzmiał: dwa lata na Bagnach i przepadek statku. Potem zabrali go z powrotem do celi, gdzie miał oczekiwać na następną karawanę do obozów karnych.

Drugi okres oczekiwania był trudniejszy do zniesienia od pierwszego, ponieważ zdołał odszukać w pamięci zagadkowego inkasenta. Był to Von Kleber, o którym myślał, że już dawno temu musiał umrzeć w kopalniach uranu w San Esperance. Hank wiedział od początku, że był to skazaniec, ponieważ miał przeszczepioną nową skórę na twarzy i głowie, tak by nie było widać śladów po oparzeniach i braku włosów, spowodowanych przez radioaktywność. Ale, że był to sam niesławny Von Kleber, nie przyszło mu wcześniej do głowy. Rozpoznanie go, pociągnęło za sobą następne. Raoul Dement, był to Chmielowy Francuzik, wiceszef kręgu Von Klebera. Zajmował się on biznesem narkotycznym, podczas gdy wielki szef poświęcił swoją uwagę innym kierunkom działalności, jak piractwo, niewolnictwo seksualne kobiet i w ogólności wszelkie przypadki przemytu. Jeśli tacy ludzie przez ponad dekadę mogli rozkwitać na posiadających dobry system policyjny satelitach Jowisza, beznadziejnym było się spodziewać, że uda się ich wykorzenić na skorumpowanej autonomicznej Wenus.

Tak więc, czas wlókł się niemiłosiernie, a Hank siedział, oczekując na dzień kiedy zostanie zabrany na Bagna. Zastanawiał się apatycznie, czy

wyślą go do tego samego obozu, w którym byli Wilkerson i Hildreth. Wreszcie jednak nadszedł dzień, kiedy kroki w korytarzu rozległy się ponownie i usłyszał otwierane drzwi i odgłosy wyprowadzanych z cel ludzi. W końcu hałasy te doszły do jego celi, a następnie wywołano go, by wyszedł. Został odprowadzony w eskorcie dwóch żołnierzy.

Ku jego zaskoczeniu, żołnierze zabrali go na ulicę, gdzie czekały na nich trzy lektyki. Strażnicy bardzo uprzejmie wskazali mu, żeby wsiadł do środkowej, a sami zajęli pozostałe. Hank usiadł w fotelu i wyruszyli w drogę. Niebawem zatrzymali się pod budynkiem sądu.

W środku przywitał go wysoki, szczupły mężczyzna, niemal w jego wieku, ubrany w mundur Głównego Inspektora Międzyplanetarnego FBI.

— Jak pan się czuje, panie kapitanie? — powitał go radośnie. — Przykro mi, że musiał pan tak długo pozostawać w więzieniu, ale spróbujemy jakoś to panu wynagrodzić. Wejdzie pan i pozwoli bym coś panu pokazał?

Hank popatrzył na inspektora ze zdumieniem. Był to Frank Haynes, człowiek, który wiele lat temu rozbił gang Von Klebera. Swego czasu blisko razem współpracowali, nad informacjami dostarczonymi przez Hanka, kiedy został wypuszczony z San Esperance. Teraz nic nie odpowiedział, zaś Haynes poprowadził ich do sali rozpraw. Na miejscu dla oskarżonych siedzieli dwaj łysogłowi więźniowie – Von Kleber, niedawany Inkasent Portu, oraz pan Dement, kierownik fabryki narkotyków na Merkurym. Sędzią był ktoś nowy – i to sędzią, który wyglądał tak, jak powinien wyglądać sędzia.

— Siedzą tutaj dzięki panu — powiedział Haynes, wskazując palcem na kryminalistów. — Dwóch najbardziej szczwanych przestępców, jacy kiedykolwiek trapili ten układ. Od dawna próbujemy ich złapać. Ale ich kariera jest już zakończona.

— Nasz miejscowy pracownik, znany panu jako Brown, już od wielu miesięcy próbował zlokalizować źródło strumienia trylobiny, lecz bez sukcesu. Wenusjańskie władze blokowały go na każdym kroku, ale nic nie mogliśmy na to poradzić, chyba że bylibyśmy w stanie oskarżyć ich o przestępstwa federalne. To pan nam to umożliwił. Bardzo się cieszę, że dałem panu ten pierścień identyfikacyjny po naszym sprzątaniu na Callisto i listę tajnych adresów naszych agentów. Czułem, że potrafi pan dochować tajemnicy i nie nadużyje swoich przywilejów, i dzisiaj z całą pewnością mogę powiedzieć, że moje postępowanie było usprawiedliwione. Kiedy rozmawiałem z panem w pańskiej celi…

— Pan!

Na widok zaskoczenia Hanka, inspektor Haynes uśmiechnął się szeroko.

— Całkiem niezłe przebranie, co? No dobrze, jak to właśnie miałem zamiar powiedzieć – dał mi pan wszystkie wskazówki, jakich potrzebowałem. Przede wszystkim, pańska uwaga o pladze pagras, powiedziała mi, że na pokładzie ma pan trylobinę, ponieważ narkotyk ten destyluje się z jadu tych stworzeń. To dało nam jurysdykcję nad tą sprawą. Wziąłem udział w potajemnej aukcji i spróbowałem licytować. Wszystko ze statku poszło na pniu do ludzi Von Klebera, a kiedy ja

wszedłem do licytacji o skóry troklebeków, natrafiłem na sztywny opór. Nie były do zdobycia za żadną cenę. A więc przestałem przebijać.

— Nasi agenci śledzili drogę tych skór przez pięciu pośredników, zanim dotarliśmy do samego Inkasenta. Dzisiaj wcześnie rano przeprowadziliśmy nalot, przejęliśmy całe ich zapasy narkotyków i złapaliśmy dwudziestu pięciu detalistów. Już wcześniej wykonaliśmy akcję na Merkurym i więźniowie stamtąd przylecieli jakąś godzinę temu. Mieli całkiem nieźle prosperujący interesik, a dlaczego nie potrafiliśmy wcześniej wpaść na sposób w jaki szmuglowali trylobinę, nie mam pojęcia. Oczywiście, wiedzieliśmy, że musiała ona być gdzieś na statkach, które konfiskowali. Co do tego byliśmy pewni. Nie potrafiliśmy jednak udowodnić nawet najdrobniejszego przestępstwa, dopóki nie wiedzieliśmy, jak oni to robią. Dzięki panu, gang znalazł się pod kluczem i możemy w końcu coś zrobić dla tych nieszczęśników, którzy zostali niewinnie wrobieni w przemyt narkotyków. Wysłałem już na Bagna posłańców, żeby sprowadzić tutaj pańskich przyjaciół. Pan zaś znalazł się tutaj. Znajdzie pan swojego *Swappera* w Stoczni, gruntownie wyremontowanego i wypełnionego po wręby towarami handlowymi najlepszej jakości.

Hank Karns, handlarz, stał pociągając za swą posiwiałą brodę i spoglądając głupawym wzrokiem na podłogę.

— A niech to diabli — powiedział w końcu, — to wszystko bardzo pięknie. Ale, do licha, jak ja się podle czułem, robiąc z siebie w taki sposób, skończonego głupca.

Inspektor Haynes wybuchnął śmiechem, podszedł do niego bliżej i klepnął go w plecy.

— Ty stary łgarzu! Ty to uwielbiasz!

KONIEC